

Zjawy z wyspy Rapa Nui



Czesław Sornat

Skakał ze spadochronem, był na kilku safari w Afryce, odbył wyprawę na Kilimandżaro, kilka tygodni spędził z plemieniem Berberów na Saharze. Beznadziejnie zakochany w kulturze Polinezji, żył na wielu wyspach wraz z ich mieszkańcami. Pomagał w budowie/wypalaniu łodzi

polinezyjskiej na Cook Island. Kilka miesięcy spędził w klasztorze w Tybecie. Stał przed lufami karabinów, gdyż przeżył pierwszą i drugą rewolucję w Afganistanie. Był aresztowany przez SAWAK (bezpiekę Szacha Iranu), przeżył ucieczkę Szacha i przyjazd Khomeiniego. Zatrzymany przez Talibów w Ghazni - w sercu Talibanu. Przeżył stan wojenny na Fiji, gdzie dwukrotnie był aresztowany jako szpieg. Zaprzyjaźnił się z księżniczką z Tonga, gdzie próbowano zmusić go do ożenku. Podróżował zardzewiałym i rozsypującym się statkiem „Dedele” po wyspach archipelagu Vanuatu (gdzie mieszkają kanibale), dzięki kapitanowi Machi, czyli Maciejowi Bocheńskiemu, który osiadł tam po wojnie. Adoptowany przez rodzinę polinezyjską na Bora Bora i przez rzeźbiarza z Rapa Nui (na Wyspach Wielkanocnych).

Czesław Sornat (*Austin, Teksas*)

Nazwa Wyspy Wielkanocne używana jest przez białych ludzi. Wśród Polinezyjczyków największa wyspa z archipelagu znana jest pod nazwą Rapa Nui. Podobnie jak inne wyspy, również i tę przemaszerowałem wzdłuż i wszerz. Po tym wyjaśnieniu mogę przejść do opisanie swojej wyprawy w poszukiwaniu posągów Moai Ahu Akivi.

Nieoficjalnie grupa Moai nazywana jest “Czekający Żeglarze”.

Legenda mówi o grupie żeglarzy-odkrywców, którzy odnaleźli tę wyspę i zdecydowali się czekać, wraz z osiedleńcami, na swojego króla. Niestety, czekali tak długo, aż zamienili się w kamienie. Różnica między nimi a pozostałymi Moai rozsianymi wzdłuż wybrzeża jest taka, że te posągi patrzą w kierunku wyspy, plecami do oceanu. Natomiast Moai Ahu Akivi są ulokowane na jednej z gór w środku wyspy i patrzą w kierunku oceanu. Prowadzi do nich wąska, często zanikająca ścieżka długości 13 km.



Kobieta-zjawa, fot. Czesław Sornat

Z miejscowości Hanga Roa ruszyłem w kierunku zachodnim. Pierwszym przystankiem miał być Moai AhuTahai. W trakcie robienia zdjęć, nagle w moim obiektywie, pojawiła się nieziemska postać. Z posągu wyszła przepiękna kobieta-zjawa, owinięta jedynie w zwiewną szatę z ptasich piór. Wokół niej biegały dwa wielkie wilczury. Początkowo pomyślałem, że to albo moje zmysły, albo aparat płatają mi figla. Zjawisko było naprawdę nieziemskie. Ostrożnie – żeby nie spłoszyć obrazu przed moimi oczami – sprawdziłem aparat fotograficzny i zacząłem robić zdjęcia. Na szczęście byłem całkowicie ignorowany. Zjawa powoli wyciągnęła ręce do nieba i zaczęła się modlić. Powoli osuwała się, aż opadła na kolana. Psy leżały cichutko przy jej kolanach. Wiatr niósł jej śpiew-chantowanie. Czułem się jak zahipnotyzowany.



Koń i psy, fot. Czesław Sornat

Nagle psy poderwały się i pobiegły w moim kierunku. Zamarłem i stałem bez ruchu, ale psy zaczęły przyjaźnie ocierać się o moje nogi. Spojrzałem na nie przez krótką chwilę. Gdy podniosłem z powrotem głowę, kobiety-zjawy już nie było, jakby rozplynęła się, niczym puszysta chmurka. Puch! – była i jej nie ma. Zacząłem iść w kierunku drogi, a psy podążały za mną. Kilkaset metrów dalej wilczury zobaczyły stado dzikich koni. Tu odezwał się w nich duch dzikich wilków i ruszyły w pogoń. Po pewnym czasie poddały się i wróciły do mnie. Położyły się przy moich stopach, jakby czekały, w którą stronę pójdę. Gdy zacząłem iść – kierując się słońcem – one zaczęły biec za mną. I tak, jakby to była

zabawa dobiegały do mnie i odbiegały w krzaki znikając mi z
oczu. Ale zawsze wracały. W pewnym momencie doszliśmy do
kamiennego murku ciągnącego się w nieskończoność w obie
strony. Nie wiedziałem, w którą stronę iść. Wilczury leżały przez
chwilę i nagle się zerwały, a każdy z nich pobiegł w inną stronę.
Stałem zdezorientowany. Za kilka minut znowu przybiegły.
Jeden z nich podbiegał i odbiegał, jakby chciał dać mi znak, żeby
za nim iść. No więc poszedłem. Po kilkuset metrach pokazała się
drewniana i spróchniała furtka. Z trudem ją otworzyłem, ale
droga znowu była otwarta. Tym razem to wilczury mnie
prowadziły.



Spróchniała furтка, fot. Czesław Sornat

W pewnym momencie skręciły w lewo w kierunku oceanu zamiast w kierunku wyspy. Zdecydowałem zawierzyć wilczurom i poszedłem za nimi. Doprowadziły mnie do podziemnej groty ze źródłem. Była olbrzymia i jak się później dowiedziałem, w grotach tych ukrywały się całe wioski, podczas walk plemiennych. Wilczury położyły się u wejścia groty i czekały spokojnie, aż zakończę jej eksplorację.



Podziemna grota ze źródłem, fot. Czesław Sornat

Po wyjściu znów wyruszyliśmy w drogę, ale tym razem w kierunku środka wyspy. Szliśmy tak kilka godzin, aż doszliśmy do wspaniałej podziemnej oazy ze źródłem i przepięknie rosnącymi bananami. Z powierzchni wyspy absolutnie nie było jej widać. Po dłuższym odpoczynku połączonym z kąpielą zdecydowałem się iść dalej. Po kilkudziesięciu metrach w oddali ukazały mi się poszukiwane posągi Ahu Akivi. Już wiedziałem, w którą stronę iść.



Podziemna oaza z bananowcami, fot. Czesław Sornat

Wilczury, które mnie prowadziły i pilnowały przez całą drogę, nagle zniknęły. Tak samo jak kobieta-zjawa. Były – puch! I już ich nie było. Przez długi czas je wołałem, szukałem, ale bezskutecznie. Nigdy więcej już ich nie zobaczyłem. Czyżby duchy Wyspy prowadzące zbłąkanego wędrowca?

Po czasie przyszło mi do głowy, że to duch mojego ukochanego psa Belli, który odszedł w moich ramionach pół roku wcześniej, wysłał wilczury, aby doprowadziły mnie bezpiecznie przez kamieniste bezdroża do Ahu Akivi Moai... A teraz... niech Ci,

którzy chcą w to uwierzyć, po prostu uwierzą, a ci pozostali...
niech się uśmiechną z niedowierzaniem i potraktują te opowieści
jako wytwór mojej wybujałej wyobraźni.

*

G A L E R I A

Wyprawa na Wyspy Wielkanocne, 2018 r., fot. Czesław
Sornat

*













Zobacz też:

Transformacje. Czesław Sornat.

Sztuka podróżowania



Powozownia zamkowa w Łańcutie, pocztówka.

Włodzimierz Wójcik (*Sosnowiec*)

Może na co dzień nie zawsze zdajemy sobie sprawy z tego, że nasze życie jest jedną wielką podróżą. Dotyczy to zarówno tak zwanych wielkich, a więc: artystów, pisarzy, uczonych, inżynierów-wynalazców, jak też całkiem zwyczajnych ludzi. Historia ludzkości znaczone jest podróżą, której synonimem są

nazwiska ludzi tej miary, co Ibrahim Ibn Jakub, Marco Polo, Krzysztof Kolumb, Vasco da Gama oraz zwykłych śmiertelników, a więc: kupców, wędrownych cieśli, kosiarzy, domokrąźców; beduinów, romów, emigrantów politycznych czy ekonomicznych. O roli podróży – tym razem roli podróży literackich – Jarosław Iwaszkiewicz wypowiadał się następująco: Dla ludzi piszących, poetów, literatów, nie ma jak podróż. Nie tylko zmiana środowiska, ale sam ruch wagonu, stuk kół o szyny już wywołują w umyśle pewnego rodzaju fermenty. Pomysły sypią się, rytm wiersza gada – i ostatecznie zamiast podziwiać i oglądać jakieś cudzoziemskie cuda – podróżujący pogrąża się we wspomnienia, a ze wspomnień powstają fikcje, nie mające nic wspólnego z otaczającą go rzeczywistością, a jednak dzięki tej rzeczywistości powstałe. Nieco inne aspekty pożytków podróżowania podnosił Kazimierz Wierzyński w cyklu esejów pod wymownym tytułem Cygańskim wozem. Wyznawał:

Przelatywałem Atlantyk jedenaście razy, ale nic mi to nie dało. Ogromne samoloty, stu pasażerów, ciasnota, nuda. (...) Samochód to także podstępny przewodnik po świecie. Także supremacja maszyny nad człowiekiem, także odcięcie od rzeczywistości. (...) Właściwie świat nadaje się, by chodzić po nim piechotą. Wtedy jest dostępny i namacalny od oczu do podeszwy. Najbardziej nostalgiczne wspomnienia mam ze szkolnych czasów, z wędrówek (...).

Tym tropem myślowym szli inni skamandryci: Antoni Słonimski jako autor tomików „Droga na Wschód” i „Z dalekiej podróży”, czy „Stanisław Baliński jako twórca wierszy Wieczór na Wschodzie”. Baliński, emigrant mieszkający od czasu wojny w Londynie, zżerany tęsknotą za Polską marzył o zwyczajnych spacerach ścieżkami polnymi ojczystej ziemi. W swoim „Dzienniku” notował:

Tak bardzo chciałbym iść nawet z obolałym kolaniem, nawet lekko kulejąc przez jakąś ścieżkę polską i widzieć jako cel tej włóczęgi białawe brzozy.

Ale dość cytatów. Widzimy z nich, że są tam zawarte podróżne doznania i zaledwie wybrane tylko opinie ludzi nam współczesnych. A jak bywało dawniej? Słowacki, Mickiewicz, Norwid, Krąszewski i setki innych – to pisarze podróżnicy. Na wołowej skórze tego nie spisać. Zresztą nie o jakiś rejestr tutaj chodzi... Rzecz najważniejsza to wnioski.

Podróżowanie jest oglądaniem i przeżywaniem świata. To prawda. Nowoczesnymi środkami lokomocji: szybkim samochodem, statkiem oceanicznym, czy samolotem odrzutowym na wysokości dziesięciu lub dwunastu tysięcy metrów. Można jednak czasem zdobyć się na podróżowanie rowerem, bryczką, furmanką, nawet pieszo. Zwłaszcza pieszo. W pierwszym

przypadku mamy do czynienia z – używając terminu Zofii Nałkowskiej – „widzeniem dalekim”. W drugim – z „widzeniem bliskim”.

Podróżujemy bezustannie nie tylko pokonując czas i odległości w rozumieniu fizycznym. Czytając na przykład „Pana Tadeusza” kształcimy naszą wyobraźnię. Przenosimy się w miniony już czas i w inną przestrzeń. Wiadomo: na ziemię litewskie lat 1811-1812, nad równiny nadniemeńskie, „do tych pól malowanych zbożem rozmaitem, połączanych pszenicą, posrebrzanych żytem”. Bardziej wykształcony czytelnik wie, że znajduje się w przestrzeni artystycznej, i jest zdolny podążać także za podmiotem twórczym, w tym konkretnym przypadku za poetą, którego uznajemy za jednego z trzech, czy czterech wieszczów. Bada okoliczności powstania utworu. Biegnie tedy myślą ku Francji, do Paryża, nad Sekwanę, gdzie w latach trzydziestych minionego stulecia, w okresie Wielkiej Emigracji polistopadowej, powstawały artystyczne wizje Mickiewicza... To też jest pyszne podróżowanie. Wymaga jedynie wyrwania się – choćby na niedługi czas – z szalonego, nieludzkiego rytmu codzienności, zwolnienia pędu, i spokojnego oddania się lekturze w ciepłym świetle stołowej lampy.



Powozownia zamkowa w Łańcucie, pocztówka.

Jakie płyną wnioski z niniejszych wywodów? Chyba takie, że jeśli życie jest podróżą, to trzeba pamiętać, iż długość możliwej do przebycia w życiu drogi zależy od mądrze zorganizowanych na tej drodze wygodnych przystanków. Trzeba trochę racjonalizmu, mądrości, rozwagi... Chodzi o to, aby na końcu tej drogi nie żałować – na skutek nieracjonalnego pędu za zdobywaniem mnóstwa przedmiotów i „rzeczy” – tego, iż nie zauważyło się fenomenalnego kształtu liści klonowych, cudownej organizacji życia mrówek, uroku rydza wyłaniającego się z leśnej trawy w lasach w okolicach Siewierza, koloru gila, czy sikorki, która towarzyszy nam w zimowe dni, mądrych liryków Szymborskiej, sugestywnych obrazów Malczewskiego, Chagalla, czy nie

słyszało w całej pełni tonów muzyki Vivaldiego... Chwila refleksji nie zaszkodzi. W szaleńczym pędzie życia, który jest czasem po prostu nierozumnym biegiem obok życia, konieczny jest przystanek; potrzebny, po wyjściu z odrzutowca, swobodny spacer właśnie polnymi ścieżkami, po łące, nad strumieniem, „gdzie woda czysta, a trawa zielona...”

Można także, nie bacząc na mgłę i mżawkę, iść krok za krokiem nad naszą Czarną Przemszą i nieść w sercu tę niezłomną nadzieję, że wcześniej czy później władze regionalne podejmą heroiczną decyzję oczyszczenia tej rzeki, w której przed dziesięcioleciami można się było kąpać i łowić wcale smaczne ryby. Jeżdżę po Europie i pamiętam, że Ren i Tamiza były niegdyś prawdziwie martwymi rzekami. W ostatnich latach sytuacja radykalnie się zmieniła. Nad Tamizą spotyka się ludzi z wędkami. Radują ich gesty wskazujące na fenomenalne zdobycze. Człowiek się dziwi, że zazwyczaj chłodni Anglicy mogą tak się zapalać uprawiając wcale szlachetną „sztukę wędkarską” w oczyszczonej już rzece. W roku 1980 mogłem na wysokości Bazylei kąpać się w niegdyś zatrutym Renie. Jestem świadomy tego, że walka z zanieczyszczeniami okazuje się niezwykle kosztowna. To prawda. Prawdą jednak jest i to, że zwalczanie chorób jest jeszcze kosztowniejsze. Wniosek ten okazuje się dość banalny, ale cenny. Wynika on bezpośrednio z uprawianej przeze mnie „sztuki podróżowania”... Po Zagłębiu, po Polsce i po świecie.



Profesor Włodzimierz Wójcik (1932-2012) ukończył polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie pracował w latach 1969-1973. Od 1973 roku związany z Uniwersytetem Śląskim, organizował nowo powołany Wydział Filologiczny. Był prodziekanem (1973-1975, 1977-1978) i dziekanem Wydziału Filologicznego (1984-1987), dyrektorem Instytutu Literatury i Kultury Polskiej (1987-1991), twórcą i kierownikiem Zakładu Literatury Współczesnej (1981-2002). Przewodniczył Radzie Naukowej Instytutu Literatury i Kultury Polskiej (1987-1991). Koordynował badania w Uniwersytecie Śląskim nad literaturą polską XX w. Był członkiem Komisji Historycznoliterackiej PAN – oddziałów w Krakowie i Katowicach, Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, Związku Literatów Polskich

i Górnosławskiego Towarzystwa Literackiego. Przez wiele lat pełnił funkcję opiekuna naukowego Muzeum Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym.

Amerykańskie podróże Heleny Modrzejewskiej



Arden w Kalifornii, dom Heleny Modrzejewskiej i Karola Chłapowskiego.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

...cudownie mi się przedstawiał o zachodzie słońca, gdyśmy się doń na statku zbliżali. Byłam rzeczywiście w ekstazie, porównywałam go ze wszystkimi znanymi mi z widzenia i z opisów miastami i nie znalazłam równego mu w pamięci, tak nic jego powierzchowność nie ma w sobie europejskiego – zdecydowałam nareszcie, że tak musiała wyglądać Kartagina lub Babilon, ze swymi kolorowymi gmachami, złożonymi sklepieniami, łukami etc. etc. [1]

- opisywała Helena Modrzejewska swoje oczarowanie linią brzegową Nowego Jorku, gdy statek parowy, którym wybrała się wraz z rodziną w podróż życia, dopływał do portu.

Helenie Modrzejewskiej podróżowanie nie było obce. Wymagał tego zawód aktorki. Najpierw były wyjazdy z Bochni do Nowego Sącza, potem dalej do Rzeszowa i Przemyśla, wozem z płócienną budą osłaniającą od słońca, deszczu i wiatru, z sześcioma osobami razem z woźnicą, wszystkimi akcesoriami scenicznymi, papierowymi dekoracjami, kurtyną z perkalu, dwiema tabliczkami *Teatr* i *Kassa* oraz całą garderobą głównej aktorki, którą były *dwie suknie materialne: biała i czarna*[2]. Po czasie, jako uwielbiana krakowska aktorka, wyjeżdżała na gościnne występy z zespołem teatralnym, już w bardziej komfortowych warunkach. Ciągłe były to jednak występy w Polsce. Marzenia o dalekich, zamorskich krajach pojawiły się dopiero w Warszawie, gdzie zamieszkała wraz z mężem, Karolem Chłapowskim, po otrzymaniu kontraktu Teatrów Rządowych. Modrzejewska wszędzie zdobywała uznanie i aplauz, tak na scenie, jak i w życiu towarzyskim. U Chłapowskich odbywały się słynne *wtorki* artystyczne, na których bywali: Moniuszko, Sienkiewicz, Chmielowski, Witkiewicz, Chełmoński. Wszyscy oni wnosili do domu aktorki pewien koloryt i artystyczną atmosferę. Myśli ich zaczęły wybiegać poza Warszawę, rozmawiano o dalekich podróżach, przyglądano się wielkiej mapie, która była stałym już wyposażeniem salonu. Nie wiadomo, kto pierwszy wpadł na

pomysł egzotycznego wyjazdu do dalekiej Kalifornii. Może Juliusz Sypniewski, jedyny *rolnik* wśród artystów, przyjaciel Karola Chłapowskiego z celi[3]. Może Henryk Sienkiewicz, z niezwykle rozpaloną wyobraźnią i żyłką poszukiwacza przygód. W każdym razie od tej chwili już o niczym innym nie mówiono. Na ostateczną decyzję wpłynął jeszcze jeden fakt. W styczniu 1876 r. weszła na afisz sztuka Lubowskiego „Nietoperze”. Gdy w pewnym momencie spektaklu, na którym byli obecni państwo Chłapowscy, aktor ucharakteryzowany na męża artystki powiedział ze sceny: *A ja sobie żyję z kapitału mojej najdroższej żoneczki*, wszyscy wiedzieli o kogo chodzi. U ziemianina bez majątku, Karola Bodzenty Chłapowskiego, zaczęło wtedy kiełkować marzenie o wielkiej, przynoszącej duży dochód kalifornijskiej farmie[4]. Helena Modrzejewska też chciała, aby mąż mógł poczuć się gospodarzem na włościach. Poza tym kusiły ją nowe wyzwania. W Polsce osiągnęła już przecież wszystko, co można było w tym czasie osiągnąć.

W lutym 1876 r. do Kalifornii pojechali Henryk Sienkiewicz i Juliusz Sypniewski, aby znaleźć odpowiednie miejsce do osiedlenia się dla nowych imigrantów. Dom niedaleko Anaheim wydawał się być odpowiedni. Na wybór miejsca miał też wpływ język. Większość członków grupy, która zamierzała wyemigrować nie znała języka angielskiego, za to znakomicie władali niemieckim. Sąsiedztwo niemieckich osadników miało więc znaczenie. – *Sypniewski wrócił z entuzjastyczną relacją na*

*temat piękności Kalifornii – pisała Modrzejewska w swoim pamiętniku. – Zgodnie z jego opinią, raj był niczym w porównaniu z tym krajem zielonych łąk, niebieskich zboczy górskich i kwitnących drzew pomarańczowych***[5]**.

Zaczęto więc przygotowania do tak dalekiej podróży w nieznane. – Zakupiło się wiele, bardzo wiele ekwipunku – ciężkie dery, teleskopy, mosiężne zawiasy do drzwi, strzelby etc.; dwa duże pudła lekarstw i pojemną szkatułę instrumentów chirurgicznych, a przede wszystkim sześć rewolwerów! Nawet ja zostałam obdarowana jednym z nich, sztuka bardzo ozdobna, wykładana masą perłową. Nasze umeblowanie zostało wystawione na sprzedaż, ale książki, obrazy i osobistą garderobę pakowało się starannie do podróży, aby nam to wszystko towarzyszyło w wyprawie do dzikich okolic, jako niezbędne artykuły pierwszej potrzeby w „prostym życiu”**[6]**.



Helena Modrzejewska w Nowym Jorku,
fot. zbiory własne.

13 lipca 1876 roku aktorka wraz mężem, synem, przyjaciółmi i ich dziećmi, dziewczyną do pomocy oraz ogromną ilością kufrów,

waliz i pudeł wyruszyła w podróż życia, wsiadając na niemiecki parowiec „Donau”, aby rozpocząć zupełnie nowy rozdział. Po 10-cio dniowej podróży przez Ocean zatrzymali się na kilka tygodni w Nowym Jorku. Niestety, czar prysł, wielka amerykańska metropolia nie wydawała się już tak imponująca. – *Dostawszy się do miasta, nic z tego wszystkiego, co mi się z dala tak pięknym wydawało nie znalazłam* – dzieliła się aktorka swoimi odczuciami – *natomiast dużo brudu, miliony omnibusów, kolei żelaznych – a sztyldów i anonsów takie mnóstwo, że czasem koloru domu pod nimi dopatrzyć się nie można. Mania sztyldów dochodzi tu do absurdu.* [7]

Następnym etapem była Kalifornia. Postanowili płynąć statkiem wzdłuż północnej Ameryki, aby poznać nowy kontynent. Wypłynęli z Nowego Jorku do Panamy. Po drodze jednak statek został uszkodzony, zostali więc odholowani z powrotem do Nowego Jorku, aby przesiąść się na inny statek. Nie było jeszcze wówczas Kanału Panamskiego, który powstał dopiero w latach 1904-1914. Trzeba się było więc przesiąść na pociąg, przejechać Panamę i wsiąść na kolejny statek, żeby dostać się do San Francisco. Nowi osadnicy przybyli więc na miejsce dopiero po wielotygodniowej podróży. Kalifornijski „raj na ziemi”, jak go przedstawiali Sienkiewicz i Sypniewski, rozczarował ich. Na odbiór okolicy wpłynęła zapewne też pora roku. Było gorąco i sucho i nie tak zielono, jak wiosną, po porze deszczowej. – *Wynajęty dom wydał nam się za mały* – pisała Modrzejewska w

pamiętnikach. – *Dwie sypialnie, jadalnia, salon z pianinem i kanapą. Rzucająca się w oczy banalność tego wszystkiego mogła odebrać otuchę, a ogródek przed domem z jego cyprysami, przyszyżoną trawką i bezładnymi klombami kwiatów przypominał biednie utrzymany cmentarzyk. Co jedynie ratowało sytuację, to otwarty widok na góry – od północy na Sierra Madre, od wschodu na Santa Ana Range. Ale ja się rozczarowałam ogromnie i omal nie wykrzyknęłam – Och! Dlaczego nie zamieszkamy w namiotach. [8]*

Takie były początki na nowej ziemi. Wtedy zapewne Modrzejewska nie przypuszczała, jak trwały ślad tu zostawi i jak wielką zdobędzie sławę. Nie myślała, że spojrzy na siebie i swój kraj z zupełnie innej perspektywy, nabierze dystansu, rozwinie skrzydła. Kosztowało ją to ogrom pracy i wysiłku. Jedną z głównych przyczyn jej amerykańskiego sukcesu, była niebywała ilość podróży. Stała się przez to znana i kochana na całym amerykańskim kontynencie. Dotarła wszędzie gdzie ją zaproszono, grała w wielkich, prestiżowych salach, takich jak Metropolitan Opera w Nowym Jorku, w znanych teatrach w dużych miastach, ale i w małych, prowincjonalnych teatrzykach, daleko od centrów kulturowych, do których niewielu aktorów docierało. Objechała wszystkie stany w USA i wiele prowincji w Kanadzie i to po kilka razy. W sumie odbyła XXIII tury. Oprócz wielkiego talentu, urody i niezwykłej pracowitości, na sukces Modrzejewskiej miał wpływ rozwój kolei, która gęsto pokrywała

swoją siecią ogromne obszary USA. Artystka na pewno nie chciałaby wrócić do początków swojej kariery i podróżować od miasta do miasta wozem z płócienną budą, zwanym w Ameryce „conestoga”. A takimi wozami zdobywano „Dziki Zachód”. Jechano po wyboistych drogach, z całymi rodzinami i bagażami, bez możliwości zatrzymania się w godnych warunkach na odpoczynek w przydrożnym zajeździe czy hoteliku, jak to było w Europie. Nie byłoby też możliwe podróżowanie dyliżansem, który jechał ze średnią prędkością 12-15 km na godzinę, w zależności od pory roku, pogody, stanu dróg i ilości koni. Podróże dyliżansem wiązały się też z postojami, w różnych miejscach, często niebezpiecznych. Dopiero rozwój kolei zrewolucjonizował podróżowanie po tym wielkim kontynencie. Kolej regularnie zaczęła kursować w latach 30. XIX wieku. Pierwszy parowóz „John Bull” sprowadzono z Anglii w 1832 roku do stanu New Jersey. Szybko też powstał na miejscu przemysł parowozowy i w rekordowym tempie zbudowano sieć szyn. W 1840 roku ogólna długość linii kolejowych na świecie przekroczyła 9000 kilometrów, z czego aż 4500 kilometrów znajdowała się w USA. Pociągi były jak na owe czasy bardzo szybkie. W latach 40. XIX w. przekroczone barierę 100 km/godzinę. To był rekord. Średnio jednak pociągi jeździły z prędkością ok. 80 km/godzinę. Pierwotnie, co jakiś czas stawano na stacjach na dłuższy postój, by pasażerowie mogli się posilić w licencjonowanych bufetach dworcowych. USA jako pierwsze, w latach 60. XIX w. wprowadziły wagony restauracyjne. To znacznie przyspieszało

podróż. Wymyślono też wagony sypialne, dla wygody pasażerów, pokonujących wielodniowe odległości. Pierwszy wagon sypialny w USA (George'a M. Pullmana) zaczął kursować między Chicago i Bloomington w 1859 r. Wprowadzono też (wówczas tylko w USA) luksusowe wagony salonowe tzw. „parlour cars”, kursujące pomiędzy głównymi miastami.

Helena Modrzejewska przemierzała ogromny kontynent wzdłuż i wszerz głównie pociągami. Tak też układane były jej trasy, uzależnione od miejsc, gdzie znajdowała się stacja kolejowa. Czasami trzeba było dojechać jeszcze końmi. Kariera Modrzejewskiej się rozwijała, przybywało kostiumów i dekoracji. Z czasem, gdy założyła własną firmę *Helena Modjeska Company* miała swój wagon „Poland”, pierwszy raz w historii tego kontynentu. Urządziła go, jak dom, z wygodnym łóżkiem, lustrem, obrazami na ścianach, dywanami i książkami. W końcu spędzała tu dużą część swojego życia. Miała tam – *salon z szafami pełnymi książek, kilkoma dobrymi sztychami i wielkimi wazonami świeżych kwiatów. Sypialne przedziały Madame mogły być sypialniami wielkiej księżnej; srebrny komplet przyborów toaletowych z wyrytymi herbami Chłapowskich błyszczał na ozdobnym stoliku, a łóżko pokryte było bielizną z monogramem, brokatową kołdrą i podbitą futrem narzutą. Przedział jadalny był urządzony w podobnym stylu. Używano najlepszej porcelany i bielizny stołowej, a posiłki przygotowywane przez polskiego kucharza były wyborne, gdyż Madame i jej mąż byli*

zapamiętałymi smakoszami. Podczas długich przejazdów koleją Madame prowadziła tryb życia odznaczającym się pełnym wdzięku zachowaniem form. Jej dyrektor zespołu, pierwszy aktor oraz dwaj członkowie zespołu w kolejnej ważności byli zapraszani codziennie do wagonu na śniadanie lub obiad. Przestrzegano ściśle protokołu i siedzieli oni stosownie do swych stanowisk w trupie. [9]

W pierwszą podróż teatralną po miastach i miasteczkach Kalifornii i Newady artystka wybrała się jesienią 1877 roku. Wtedy miała miejsce prapremiera „Damy Kameliowej” A. Dumasa w przeróbce pod tytułem „Camille”. Modrzejewska pojechała z partnerami z California Theatre z San Francisco. Zapamiętała zjazd w Virginia City na samo dno kopalni srebra. Gdy wręczyła dolara przewodnikowi, tego zamurowało. Okazało się, że był to właściciel kopalni, który z grzeczności oprowadził artystkę. [10]

Na początku grudnia 1877 roku aktorka po raz pierwszy pojechała koleją transkontynentalną do Nowego Jorku. Jechała kilka dni i kilka nocy. Ten olbrzymi kraj, o tak różnych krajobrazach i klimatach, wywarł na niej ogromne wrażenie.

Pierwszą amerykańską turę zorganizował jej impresario Sargent i to już w 1878 roku. Helena Modrzejewska była przerażona, 5 miesięcy nieustającego grania, 17 miast, 17 różnych hoteli, w

każdym mieście nowe próby i inne warunki sceniczne oraz nowi partnerzy. Jedynie niedziele były wolne od grania, ale te trzeba było spędzić w pociągu. [11]

Druga amerykańska tura zaczęła się 16 września 1878 roku w Filadelfii, a skończyła w połowie maja 1879 roku. Była bardzo wyczerpująca – 35 tygodni w drodze, 50 miast, 240 przedstawień, 6 sztuk w repertuarze, dwie nowe premiery. Takiej ilości występów, w takim czasie i na tak dużym terenie nie miał dotąd żaden aktor. Mówiło się, że Modrzejewska otworzyła nowy rozdział w amerykańskim systemie wędrownych artystów. Aby zrealizowanie tak ambitnego planu było możliwe, impresario po raz pierwszy wtedy wynajął artystce wagon kolejowy. Potem własne wagony stały się normą wśród podróżujących aktorów, mówiło się nawet, że ten system przyczynił się do upadku stacjonarnych scen w amerykańskich teatrach. [12]

Drugi „tour” zakończyła 17 maja w New Haven. Helena Modrzejewska musiała się nauczyć zasypiać w każdych warunkach, jeść na dworcach w pośpiechu, w poczekalniach „różne świństwa ze stu różnych kuchni między Kanadą a Nowym Orleanem”, nie mogła chorować, mimo, że przebywała w różnych klimatach, uścisnęła dłonie tysiącom ludzi, odpowiedziała na tysiące pytań. [13]

Trzeci amerykański „tour” Modrzejewskiej zorganizował nowy

impresario Fred Stinson w 1882 roku. Miał być to „pożegnalny tour”, prasa w całej Ameryce ogłosiła, że po tych występach, artystka wraca na stałe do Europy. Nie trudno się domyśleć, że dochód był ogromny. Impresario określił go „łatwym tourem”, tylko 38 tygodni w podróży, mniej małych miast, więcej dłuższych postojów. Jednak Modrzejewska nie podzieliła tej opinii. W planach był – trzy pierwsze tygodnie Boston, potem dwa małe miasta, 5 tydzień Brooklyn, 6 – Troy i Albany, 7 i 8 – Filadelfia, 9 – małe miasteczka, 10 – Waszyngton, potem miesiąc w Nowym Jorku bez przerwy na Święta, a potem kolejno po tygodniu Cleveland, Cincinnati, Louisville, St. Louis, dwa tygodnie w Chicago, potem Milwaukee, Pittsburgh, Buffalo, potem kilka miast w Kanadzie i znów Nowy Jork. Po 16 przedstawieniach w Nowym Jorku podróż przez ogromny kraj do San Francisco. I cztery tygodnie codziennych występów w San Jose, Sacramento, przejazd przez Sierra Nevada do stanu Utah i Salt Lake City, a potem do Denver w Colorado. Tam 16 czerwca 1882 zakończyła się ta „łatwa” tura. [14]



Helena Modrzejewska w Ardenie, fot.
ze zbiorów Fundacji Heleny
Modrzejewskiej w Arden.

W 1883 roku amerykańskie gazety doniosły, że wielka gwiazda jednak przedłuży pobyt w Ameryce o rok i odwiedzi te miasta, do

których nie zdążyła dotrzeć.

Czwartą amerykańską turę poprowadził Karol Chłapowski, z pomocą dotychczasowego impresario Freda Stinsona. Ze względów finansowych taki układ na pewno się opłacał, jednak na polu organizacyjnym pojawiło się wiele trudności, a roztargnienie męża artystki przeszło do legendy. Chłapowski mylił miasta, pociągi, osoby, terminy spraw. Mimo niezwykłego odczytania i znajomości czterech języków był tematem żartów. Modrzejewska w końcu postanowiła – niech „tour” firmuje Karol, ale organizacją zajmie się Stinson, a ona wypłaci mu pensję. Dzięki takiemu zabiegowi 40-to tygodniowa tura się odbyła. Pod koniec tury Modrzejewska była już bardzo zmęczona. Zaliła się w liście do Witkiewicza – *Okropnie głupie to życie moje, co mnie pochłania, niszczy i sprowadza do rzędu stworów wegetujących, a nie żyjących. Jestem już prawie taką istotą na wpół roślinną, a na wpół zwariowaną.* **[15]** Tura skończyła się w połowie 1884 roku. Modrzejewska popłynęła do Europy, w planie miała pobyt przez dwa lata. Jednak Ameryka nie chciała jej tak łatwo wypuścić. Artystka podpisała kontrakt na kolejną, 5 turę, którą rozpoczęła jesienią 1885 roku. Znów zagrała ogromną ilość przedstawień (245), z których tylko jedno odwołała, przejechała przez 80 miast, była w Nowym Orleanie, w Omaha, w Houston, w Bostonie, dwukrotnie w Kanadzie, czterokrotnie w Nowym Jorku, dwukrotnie w Chicago, w Filadelfii, w Cincinnati.

Ważne w karierze Modrzejewskiej były występy w Kanadzie, choćby dlatego, że Kanada nie była wówczas tak rozwinięta jak Stany Zjednoczone i była młodym krajem. Jako państwo zaczęła funkcjonować dopiero w 1867 r. po zjednoczeniu brytyjskich kolonii leżących na północ od rzeki Św. Wawrzyńca i Wielkich Jezior. Dopiero z czasem się rozrastała, przyłączając kolejne prowincje. Poza tym, w przeciwieństwie do Stanów była cały czas zależna od Korony Brytyjskiej. Nie miała tylu scen, ani dobrze zorganizowanej sieci kolejowej i była „daleko na północy”.

Teatry, w których grała Modrzejewska w większości już nie istnieją. Piękny budynek Grand Opera House otwarty w 1874 roku przy Adelaide Street West w Toronto, został tylko na starych fotografiach. Obecnie w tym miejscu stoi 68-piętrowy, nowoczesny budynek Scotia Plaza, usytuowany w rejonie finansowym. Jedynym śladem po dawnej świetności artystycznej tego miejsca jest niewielki pas biegnący na południe z Adelaide Street West, o nazwie „Grand Opera Lane”.

Przyjazd Heleny Modrzejewskiej do Kanady był zainspirowany barwnym pisarstwem Henryka Sienkiewicza. W jednym z „Listów z podróży do Ameryki” znalazł się niezwykle obrazowy opis wodospadów Niagara, który ją do tego stopnia zaciekał, że zapragnęła ujrzeć to miejsce. Zobaczyła wodospady 8 grudnia 1878 roku. A już na początku 1878 roku miała uzgodnione pierwsze występy w Kanadzie.

Pobyt w Toronto niestety mocno rozczarował Helenę. Grała „Damen Kameliową” Aleksandra Dumasa. 15 marca 1878 roku pisze list z Toronto do męża. – *Tutaj Adelajda Neilson***[16]** *jest uważana za bóstwo i publiczność z trudem daje się przekonać, że kto inny może być równie dobry lub lepszy niż ona. Wychodząc z teatru szepczą „lepsza niż Neilson”, ale nie mają odwagi powiedzieć tego głośno, jakby się wstydzili czy bali. Trupa, z którą gram jest pod psem.* **[17]**

Modrzejewska występowała w Toronto jeszcze kilka razy na początku lat 80-tych oraz 90-tych XIX wieku. Ale już kolejny przyjazd do Kanady zostawił zupełnie inne wrażenia, niż pierwszy. Między 12 a 14 października 1893 roku Karol Chłapowski pisze w liście do rodziny. – *Mamy teraz najlepszy zespół w Ameryce, wszyscy w nim to artyści. Przez kilka pierwszych tygodni w Toronto byliśmy bardzo zajęci codziennymi próbami, ale po półtora miesiąca jest już wszystko prostsze, tak, że mamy całe dni wolne, a zajęte tylko wieczory. Mam mnóstwo pisanie i łożenia każdego dnia. Wolne chwile to książki, wist lub pasjans. (...)*

Jak bardzo Helena była uwielbiana i popularna w Kanadzie świadczy nazwanie jej imieniem statku parowego, który przez wiele lat pływał po jeziorze Ontario. Był to wówczas jedyny przypadek w historii, aby tak uhonorować żyjącego aktora. Parowiec pasażerski „Modjeska” zbudowano i wodowano w

stoczni szkockiej w Glasgow w 1889 roku na zamówienie kanadyjskiego przedsiębiorstwa. Statek pływał pomiędzy Hamilton i Toronto do 5 VII 1924 r., kiedy to zderzył się z innym statkiem. Wyremontowany został przemianowany na „Manitoulin” i pływał jeszcze do 1953 r.



Helena Modrzejewska w roli Porcji z
„Kupca weneckiego” W. Szekspira, fot.
zbiory własne.

Helena Modrzejewska przejechała wielokrotnie amerykański kontynent wzdłuż i wszerz. Przyzwyczaiła się do stukotu szyn i gwizdów przed stacjami. Ale jak powtarzający się w nieskończoność refren pisała w listach do przyjaciół i rodziny w Polsce – jeszcze tylko ten rok, jeszcze tylko kilka razy zagra w Nowym Jorku czy w Chicago i wróć z Karolem do Polski, już na zawsze. Jednocześnie bogactwo amerykańskich możliwości uzależniało, teatralna rozkręcona machina wciągała, mnóstwo niedokończonych spraw czekało, nie łatwo było więc ten świat zostawić.

Helena Modrzejewska odbyła w sumie dwadzieścia trzy amerykańskie tury, każda trwała kilka miesięcy. Ostatnia tura rozpoczęła się 15 października w New Jersey w 1906 roku, a zakończyła w marcu 1907 r. Była to jedna z trudniejszych tur. Pierwsze dwa miesiące artystka podróżowała bez swojego wagonu sypialnego, z tego względu, że tura zawierała bardzo dużo małych miast, które nie miały stacji kolejowej. Modrzejewska ciągle była niedospana, mimo, że twierdziła, iż bez 8 godzin snu na dobę jest „nie do grania”. Prawie codziennie zatrzymywali się w innym hotelu. Na całej trasie zgotowano jej

huczne pożegnania. Finał z Lady Makbet uznano za doskonały. Pisała z drogi – *Miałam próbę generalną z Marii Stuart, na której musiałam być obecną. Tak byłam zmęczona tego dnia, że usiadłszy w wygodnym krześle w łóży w antraktach usnęłam, ku wielkiemu zdziwieniu naszego reżysera. (...) Wczoraj po południu machnęłam Marię Stuart, wieczorem Makbetową, teatr był dość pełny mimo wielkiej imprezy konkurencyjnej w owym mieście Hartford w stanie Connecticut. [18]*

To nieustanne życie w pociągu i na walizkach, ciągłe pakowanie, stukot kół, dworce, obcy ludzie, hotele, przyczyniły się do bardzo silnego marzenia o posiadaniu domu, o miejscu powrotów. Życie składa się z wielu antynomii. W Polsce, pod zaborami artystka miała nieustanną pokusę, aby uciec do wolności, pozbyć się więzów. Wtedy marzyły jej się wielkie, nieograniczone przestrzenie, które będzie mogła przemierzać bez żadnych ograniczeń. Skoro podróże były już jej codziennością, a nawet uciążliwym przymusem, stabilizacja, stworzenie sobie i swojej rodzinie własnego gniazda, stało się celem.

Artystce marzyło się stworzeniu miejsca, inspirowanego literaturą – Lasu Ardeńskiego rodem ze sztuki Szekspira „Jak wam się podoba”, schronienia artystów, filozofów i twórców kultury, gdzie „czas płynie beztrosko, jak w złotym wieku”. Poza tym była już na takim etapie sławy, że wypadało mieć swoją posiadłość. Widziała wiele siedzib wielkich artystów i zdawała

sobie sprawę z tego, że stanowią one doskonałą ramę do ich zawodowych sukcesów.

Helena Modrzejewska i Karol Chłapowski po raz pierwszy zobaczyli uroczysko i drewniany dom malowniczo położony u stóp Gór Santa Ana w Santiago Canyon w Kalifornii w 1876 roku, podczas wakacyjnej podróży do Anaheim. Zachwycili się miejscem i okolicą. Wtedy była to 160-cio akrowa posiadłość górską, należąca do pary pionierów – Józefa i Marii Refugio Pleasantów.

W 1883 roku, podczas kolejnego pobytu w Kalifornii Chłapowscy kupili pół praw do posiadłości Pleasantów w Santiago Canyon, a w 1888 r., po śmierci Marii Refugio, dokupili pozostałe prawa oraz dodatkową ziemię wzdłuż potoku i zaczęli planować znaczącą rozbudowę domu. Poprosili słynnego wówczas architekta z Nowego Jorku, Stanforda White'a o zaprojektowanie przebudowy. Prawdopodobnie architekt ten nigdy nie widział domu w Ardenie, pracował na odległość, mając jedynie do dyspozycji fotografie i szkice. Kupno rancha spowodowało, że zaczęli spędzać tam dużo czasu, ciesząc się pracą nad upiększaniem swojego kalifornijskiego zakątka.



Salon w Ardenie Heleny Modrzejewskiej, fot. ze zbiorów Fundacji Heleny Modrzejewskiej w Arden.

Z czasem przed domem pojawił się ogród różany, z ukochaną karmazynową odmianą „Henrietta”, wielka radość i duma

artystki. – *Nowa róża właśnie wczoraj rozkwitła* – pisała do pani Winter z Tustin, 9 września 1896 r. – *Baronness Rothshild jest duża, w kolorze różowym, na długiej łodydze, z liśćmi i ma zapach herbaciany.*

Dom opleciony kwitnącymi klombami i kaktusami odbijał się bielą od zieleni drzew i krzewów, a blasku dodawały mu zielone obramowania okien i kolorowe zasłony we francuskich oknach. Zdobiły go werandy, na których wiecznie wygrzewał się kot i wylegiwał pies. Wokół śpiewały oswojone ptaki, a z daleka widać było czasami przychodzące z gór kozice. Wnętrze 12-to pokojowego domostwa odzwierciedlało upodobania gospodarzy. W środku znajdowała się biblioteka z wielkim, trójdzielnym oknem i widokiem na góry. Dookoła ciemne dębowe półki z literaturą polską, francuską, niemiecką i angielską z królującym Szekspirem. Na sztalugach portret artystki w efektownej, złotej ramie, a na ścianach malarstwo, głównie polskie. Na podłodze leżały miękkie, perskie dywany, a pośrodku stał mahoniowy stół z egzemplarzami teatralnymi, wycinkami prasowymi i albumami pełnymi fotografii. W kącie elżbietański stolik – prezent od aktora Joe Jeffersona.

Jadalnia to królestwo Karola Chłapowskiego. Długa i przestronna, mogła pomieścić kilkanaście osób. Duży, ceglany kominek wieńczyła głowa bawołu z rogami. Na pozostałych ścianach wisiała kolekcja starej, cennej broni – miecze, oszczepy,

flinty, sztucery...

Dom stawał się unikalnym miejscem, łączącym egzotykę Kalifornii z atmosferą polskiego dworu i chaty góralskiej, klimatem wystawnej posiadłości ziemskiej z letnią willą, gdzie na werandach, ocienionych krzewami pija się popołudniową herbatę. Stawał się oazą, ucieczką od reszty świata. – *Za każdym razem, gdy przyjeżdżałam do Ardeny myślami byłam daleko od sceny* – pisała artystka w swoich „Wspomnieniach”.

Tu nie grała ról teatralnych, ale grała wiele ról życiowych, żony, matki, córki, ciotki, pani na włościach. Inscenizowała nie tylko swoje życie, ale i życie innych, Karolka, Dolcia, siostrzenic i bratanków. Poczuła się Rozalindą z Ardeńskiego Lasu. Wybierała się na przejażdżki konne po okolicy na koniu, którego nazwała imieniem szekspirowskiego partnera Rozalindy – Orlanda. Życie i scena wzajemnie się przenikały.

Codziennosc w Ardenie zdawała się być sielska, romantyczna i poetycka. Pierwsze śniadanie podawano zawsze na werandzie pod dębami, drugie – pakowane było w koszyczki, aby każdy mógł zjeść piknik gdzie chciał i z kim chciał. Obiad był wspólny, jedzony przy dużym stole w jadalni. Potem grano na instrumentach, lub w karty i gawędzono. O godzinie 10-tej podawana była herbata. Wieczorem czytało się książki lub spacerowało pod gwiazdami, wśród mocnej woni bujnej

roślinności, w towarzystwie cykad.

Ten ziemski raj był idealnym miejscem, aby rozwijać swoje talenty. Mimo zajęć gospodarskich, Helena rygorystycznie narzucała sobie ćwiczenie ról. Czytała bardzo dużo książek, miała też niebywały talent literacki. Właśnie tu, w Ardenie mogła spokojnie pisać swoje „Wspomnienia”, dzięki którym tak dużo wiemy o jej życiu. Stąd wysłała bardzo wiele listów do rodziny i przyjaciół, niemal w każdym z nich zawierając część swojego królestwa. Oddawała się też malowaniu, robiła drobne upominki ze swoich rysunków, ozdabiała bajki dla swoich wnuków.

Helena Modrzejewska spotykała się też z okolicznymi sąsiadami. „Bratała się” także z ludem podczas barbecue, czyli jak to nazywała „obrzędowego pieczenia całego wołu na rożnie”, podawanego z chili rozgniecionym na papkę i popcornem. – *Popcorn jest to rodzaj kukurydzy, który w górę skacze, gdy się go piecze, a po upieczeniu wygląda i smakuje jak wata* – pisała do Józefa i Teonii Chłapowskich. – *Robią z tego duże kule ocukrzane, które amerykańskie dzieci z namietnością pożerają, za co niech Bóg da im zdrowie, bo ten ich cudaczny gust podnosi cenę owej kukurydzy do wcale poważnej cyfry.* Podczas takich ludowych imprez tańczyła z pastuchami ubranymi w spodnie w lampasy i sombrero, przy dźwiękach zawodzącej gitary. Chciała poznać lud, który tu mieszkał i jego jakże odmienne zwyczaje.

Państwo Chłapowscy w ciągu 18 lat spędzili w Ardenie wakacje i wszystkie inne okresy odpoczynku (od 1888 do 1906 r.). [19]

Helena Modrzejewska notowała swoje spostrzeżenia na temat Ameryki. Była bystrym obserwatorem i widziała wiele szczegółów. Jej opisy są barwne i plastyczne. To dodatkowy element będący konsekwencją licznych podróży. Jaka zatem była XIX wieczna Ameryka Modrzejewskiej? *Pełna różnorodności – pisze we „Wspomnieniach” – budynki w tysiącnych stylach i bez stylów, lud na ulicach także dający wyobrażenie o wieży Babel, rozmaite typy mówiące różnymi językami. Tu Indianin noszący z dumą swoje łachmany, tam Murzyn w cylindrze i z laseczką, tu znów Murzynka wyrywająca przed sklepem zęb swemu bosemu jedynakowi lub małe czarne bębny przystrojone w kawałki firanek czy modne kapelusze. Francuzki sprzedające kwiaty, Włoch grający na katarynec, Niemiec sprzedający kiełbasy, Indianki skulone, okryte rządowymi kołdrami i z dużymi puklami włosów na głowach, sprzedające koszyki i zioła, lub jankes wędrujący z ruletą.* [20] Tak się artystce jawiła Ameryka drugiej połowy XIX wieku. Fetującą, ale i nie rozumiejącą. Ciężka do zdobycia, ciężka do przebycia.



Helena Modrzejewska w Ardenie, fot.
ze zbiorów Fundacji Heleny
Modrzejewskiej w Arden.

Ślady po podróżach Heleny Modrzejewskiej istnieją w Ameryce

do dziś. W wielu nazwach geograficznych w Kalifornii figuruje się nazwisko Modjeska – miasteczko, stacja kolejowa, droga szybkiego ruchu, kanion, straż pożarna, sklep, szczyt czy wodospad zostały nazwane nazwiskiem aktorki. W antykwariatach czy na aukcjach pojawiają się XIX wieczne pocztówki z artystką i jej domem, nuty utworów komponowanych dla niej, japońska porcelana Noritake Modjeska, srebrne sztucce Oneida Community Modjeska, opakowania po kosmetykach firmy Larkin z ekskluzywnej serii Modjeska, programy teatralne czy afisze. z wielkim nazwiskiem Modjeska pośrodku. Przedmioty te przemawiają, wyłania się z ich obraz kobiety o niebywałym stylu i smaku. Kobiety, do której zgłaszały się duże firmy, aby użyczała swojego nazwiska dla różnego rodzaju produktów. Szyto więc damskie stroje *a la Modjeska*, można było kupić kapelusze *a la Modjeska*, czy też różne przybory toaletowe *a la Modjeska*. Aktorka stała się w Ameryce tak naśladowana, że w miastach, przez które przeszła, zaczęła dyktować nie tylko modę, ale i maniery, zachowanie, gesty. *Bombonierki, obwoluty do cygar i pudełka od zapalek ozdabiano jej wizerunkiem; nawet w restauracjach podawano zające i kompoty a la Modejska* – jak napisał jeden z recenzentów. Konkurencyjne domy mody „wydzierały sobie” Modrzejewską. Artystka nie wiedziała w czym nakryciu głowy ma wyjść na scenę. Kapelusze z napisem *Modjeska* czy żakiety *Modjeska* szły jak przysłowiowa woda. W miastach, w których występowała bez końca fetowały ją miejscowe kluby, a wieczorem na scenie pojawiały się wielkie

kosze kwiatów z „gwiazdą północy” na szczycie, utkaną z białych i czerwonych róż. Modrzejewską nazywano „Gwiazdą północy”, czyli przybyłą z Polski, kraju leżącego gdzieś tam na północy Europy. Po występach zgłaszali się do niej producenci różnych firm, aby użyczyła nazwiska dla reklamy. Tak było np. z czekoladkami, które można kupić do dziś w wielu sklepach Ameryki. 7 grudnia 1883 roku Anton Busath był na premierze „Domu Lalek” Ibsena w Teatrze McCauley w Louisville w stanie Kentucky. Helena Modrzejewska go oczarowała, chciał więc upamiętnić ją w nazwie wytwarzanego przez siebie produktu. Dziś ta sama wytwórnia czekoladek działa w stanie Kentucky pod nazwą Bauer’s Candies i ma w ofercie 16 zestawów czekoladek *Modjeska*, wyróżnionych w osobnym dziale na stronie internetowej, jako seria ekskluzywna. W Milwaukee, Wisconsin działa zbudowany w 1910 roku Modjeska Theatre, który wprawdzie nie wystawia repertuaru Heleny Modrzejewskiej, ale na stronie internetowej przypomina krótki życiorys patronki wraz ze słynnym obrazem Heleny malowanym przez Tadeusza Ajdukiewicza. Życiorys ten nie jest do końca prawdziwy, prawdopodobnie taką wersję życiorysu przedstawiał amerykański impresario artystki. Zapewne nie wszystkie legendy były zdementowane i jako słowo zapisane są świadectwem pewnej kreacji, której wymagała sława.

Dziś prawie każdy stan ma swój festiwal szekspirowski, podobnie w Kanadzie, w Ontario w mieście Stratford coroczna wielka

impreza poświęcona Szekspirowi przyciąga tłumy miłośników sztuki. Niewiele jednak osób zdaje sobie sprawę, że jest to jeden z największych trwałych śladów po podróżach Heleny Modrzejewskiej w Ameryce. To ona spopularyzowała Szekspira w najdalszych zakątkach tego wielkiego kraju.

Dwujęzyczną książkę o Helenie Modrzejewskiej „Co otrzymałam od Boga i ludzi” można kupić przez Amazon:

https://www.amazon.com/Received-People-Helena--Modjeska-Modrzejewska/dp/0615293441/ref=sr_1_1?ie=UTF8&qid=1486658876&sr=8-1&keywords=Sokolowska-Gwizdka

Przypisy:

[1] Z listu do Marii Faleńskiej, za: J. Szczublewski, Żywot Modrzejewskiej, W-wa 1975, s. 202.

[2] J. Sokolowska-Gwizdka, Co otrzymałam od Boga i ludzi. Opowieść o Helenie Modrzejewskiej, USA 2009.

[3] Karol Chłapowski był osadzony w więzieniu w Berlinie za udział w Powstaniu Styczniowym.

[4] J. Sokolowska-Gwizdka, Co otrzymałam od Boga i ludzi. Opowieść o Helenie Modrzejewskiej, USA 2009.

[5] H. Modrzejewska: Wspomnienia i wrażenia, Kraków 1957, s.269.

[6] Ibidem, s. 269-270.

[7] Z listu do Marii Faleńskiej, za: J. Szczublewski, Żywot Modrzejewskiej, W-wa 1975, s. 202.

[8] H. Modrzejewska: Wspomnienia i wrażenia, Kraków 1957, s. 300.

[9] Ibid. s. 544.

[10] J. Szczublewski, Żywot Modrzejewskiej, Warszawa 1975, s. 232.

[11] Ibid. 237.

[12] Ibid. s. 262.

[13] Ibid. s. 278.

[14] Ibid. s. 362.

[15] Ibid. s. 391.

[16] angielska aktorka znana z ról szekspirowskich.

[17] Ibid.

[18] Ibid. s. 664.

[19] J. Sokołowska-Gwizdka, Co otrzymałam od Boga i ludzi. Opowieść o Helenie Modrzejewskiej, USA 2009, z rozdziału „U nas w Arden”.

[20] H. Modrzejewska, Wspomnienia i wrażenia, Kraków 1957.

BIBLIOGRAFIA:

1957. Modrzejewska, Wspomnienia i wrażenia, Kraków 1957.

1958. Fabijańska-Żurawska, Podróże dawniej i dziś, List oceaniczny – dodatek kulturalny dziennika Gazeta pod red. J. Sokołowskiej-Gwizdka, lipiec 2007, nr. 55.

1959. Siedlecki, Helena Modrzejewska, Kraków 1990.

1960. Sokołowska-Gwizdka, Co otrzymałam od Boga i ludzi. Opowieść o Helenie Modrzejewskiej, USA 2009.

1961. Szczublewski, Żywot Modrzejewskiej, Warszawa 1975.

1962. Terlecki, Pani Helena, Kraków 1991.

Z miłości do sztuki. Helena Modrzejewska (1840-1909), prac. zbior., Muzeum Historyczne Miasta Stołecznego Krakowa,

Kraków 2009.

Historia kolei, Wikipedia, Interia.pl.

Od Łupi do Parany i Amazonki. Część I.



Biblioteca Nacional, Caracas

Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego iberysty

Dziennik z podróży ukazuje się w drugi czwartek miesiąca

Zygmunt Wojski

Jak to się stało, że właśnie Wenezuela? Kuba, Hiszpania, nawet Francja były niejako częściowo uwarunkowane zewnętrzną sytuacją, z góry, w pewnym sensie, „narzucone”, zaprogramowane przez zainteresowania zawodowe. Wenezuela zaś to w pełni mój osobisty, suwerenny wybór dokonany

samodzielnie po lekturze *Doñii Barbary* Rómulo Gallegosa, a także dzięki fascynacji ludową muzyką na harfę – cudowny instrument! Rómulo Gallegos niezwykle sugestywnie maluje w swojej powieści życie mieszkańców Llanos, tych bezkresnych równin zajmujących jedną trzecią część Wenezueli, stwarza jakąś tajemniczą, cudowną atmosferę opisując przebogata florę i faunę tego obszaru wielkości Polski, a ponadto nie tylko w dialogach, ale i w narracji używa bardzo malowniczego tamtejszego języka, który stał się punktem wyjścia moich badań leksykalnych. Głębokie tony harfy także tkają kanwę jakiegoś muzycznego misterium. Tak przynajmniej to odbierałem. Może to była konieczność stworzenia sobie baśni na prywatny użytek, baśni w odległym, nieznanym, tajemniczym świecie?

I tak stworzyłem dla siebie własny, baśniowy obraz tego kraju i starałem się maksymalnie pogłębić wiadomości na jego temat czytając książki wypożyczane z biblioteki Ambasady Wenezueli w Warszawie. Ambasadorem był wówczas poeta Vicente Gerbasi (1913-1992), a sekretarzem Roy Chaderton (ur. w 1942 roku), z którym często utrzymywałem kontakty. Zabiegałem o to, by jak najczęściej przebywać w towarzystwie Wenezuelczyków z nadzieją, że w ten sposób dowiem się czegoś ciekawego o ich kraju. Kiedyś poznałem wenezuelską pianistkę polskiego pochodzenia Evę Marię Zuk, która wyszła za mąż za Meksykanina i od ślubu mieszka z nim w Meksyku. Zagadnąłem ją, który z tych trzech krajów uważa za swoją ojczyznę. Odparła:

„Gdybym miała oddać życie za jakiś kraj, byłaby to z pewnością Wenezuela”. No proszę, pomyślałem sobie. Jeśli tak mówi młoda atrakcyjna dama, to w istocie ten kraj musi być nadzwyczajny. Zupełnie nie brałem pod uwagę faktu, że Eva Maria Zuk urodziła się, spędziła dzieciństwo i wczesną młodość właśnie w Wenezueli i że w jej sytuacji taka odpowiedź była czymś naturalnym. Mnie wszakże posłużyła do wzbogacenia mojego baśniowego obrazu Wenezueli.

Teraz, od momentu wylądowania na lotnisku Maiquetía w dniu 1 maja 1972 roku, miała nastąpić konfrontacja mojego prywatnego mitu z rzeczywistością. Lotnisko znajduje się tuż nad Morzem Karaibskim, 16 km od Caracas, które leży dość wysoko, 920 m nad poziomem morza, w wąskiej, długiej ponad dwudziestokilometrowej dolinie u stóp pasma zwanego Kordylierą Nadmorską, z górującym nad miastem szczytem Ávila (2137 m). Mit wciąż działał, więc po drodze do stolicy oczarowały mnie migające przed oczami kolorowe domki stłoczone na stokach gór. Dopiero potem miałem okazję im się przyjrzeć. Okazało się, że są to *ranchitos*, czyli zwykłe slumsy sklecone z byle czego na wzgórzach zwanych *cerros*. Taka jest wizytówka stolicy Wenezueli od strony lotniska. Później dowiedziałem się, że w tych *ranchitos* pokrywających szczelnie stoki *cerros* wokół miasta mieszka połowa ludności dwumilionowej wówczas stolicy.

Wjechaliśmy do centrum handlowego. Wśród niskiej, niezbyt ciekawej zabudowy strzelają tu i tam okazałe wieżowce. Najstarsza część miasta jest niewielka i skromna. Całkowicie tonie w powodzi współczesnej tandety architektonicznej. Najciekawszy jest mały Plac Bolívara, z fontannami, pięknie zadrzewiony. Pod konarami rozłożystych drzew pomnik generała na koniu (pomniki Bolívara są wszędzie!), a po najwyższych gałęziach próbują się poruszać niezwykle powolne leniwce, jakże zasługujące na swą nazwę! Zawsze jakaś grupka przechodniów z zadartymi głowami wpatruje się w nie z ciekawością. W rogu placu interesująca bryła katedry z XVII wieku, dalej klasztor i kościół św. Franciszka z 1574 roku i dwa przylegające do siebie najciekawsze w mieście domy kolonialne: dom, w którym w 1783 roku urodził się bohater narodowy Wenezueli, Kolumbii, Ekwadoru, Peru i Boliwii – Simón Bolívar oraz siedziba Muzeum Bolívara. Wysokie okna z żelaznymi kratami, ciekawe portale. I to niemal wszystko, gdy chodzi o kolonialne Caracas. Jeszcze daleko stąd, u stóp góry Ávila, willa Anaúco, siedziba Muzeum Sztuki Kolonialnej. Te nieliczne okazy z epoki kolonialnej kilkakrotnie odbudowywano po częstych tutaj trzęsieniach ziemi.



Katedra, Caracas

Jednak prawdziwą wojnę zabytkom Caracas wydali sami władcy miasta, wyburzając począwszy od połowy XX wieku wszystko, co miało związek z przeszłością, by wznieść wysokościowce i wybudować ogromne autostrady okalające czy wręcz przecinające miasto. Z wyjątkiem malutkiego starego miasta pieszy nie ma w Caracas najmniejszych szans: większość ulic poza centrum pozbawiona jest chodników, a ruch samochodowy jest niezwykle intensywny. Miasto stworzone jest wyłącznie dla

zmotoryzowanych. Nie należałem do nich, toteż nie dziwota, że nie przypadło mi do gustu. Nie zawiodła mnie, jak zwykle, wyjątkowo piękna tutaj tropikalna roślinność. Chyba w żadnym innym tropikalnym mieście nie widziałem takiej ilości cudownie kwitnących drzew i krzewów. Zachwyciły mnie zwłaszcza ogromne *bucares* (*Erythrina poeppigiana*) z wielkimi ognistoczerwonymi kielichami kwiatów oraz fioletowo kwitnące *guarupas* (*Jacaranda filicifolia*), wiele różnorodnych gatunków palm, zbite kępy bambusów...

Najwięcej pięknej roślinności można zobaczyć na wzgórzach zabudowanych eleganckimi willami. Wzgórza te zwą się *colinas* w odróżnieniu od *cerros* pokrytych slumsami i znajdują się w bezpiecznej odległości od tych ostatnich. Czytelnikom nie znającym języka hiszpańskiego wyjaśniam: *cerro* i *colina* to synonimy oznaczające wzgórze, górę, ale to pierwsze słowo ma charakter bardziej gminny, pospolity, niż to drugie. Na *colinas* mieszkają najzamożniejsi, w willach-fortecach otoczonych często wysokimi murami. Zarówno tu, jak i w innych eleganckich dzielnicach, położonych tuż u stóp góry Ávila, w każdej takiej willi jest przynajmniej jedna służąca (najczęściej Mulatka) i jeden ogrodnik-kierowca w jednej osobie. Służące pracują w każdej zamożniejszej rodzinie wenezuelskiej i czasami traktowane są przez właścicieli jak niewolnice w epoce kolonialnej. Oto jeden z kontrastów: szerokie autostrady z rwącymi potokami aut, nowoczesne wieżowce i ... służące-niewolnice.

Zamieszkałem w handlowej dzielnicy Chacaíto, we wschodniej części miasta, w niewielkim jednopiętrowym budynku przy Alei Franciszka de Mirandy 28. Właścicielka mieszkania, Doña Luisa Olavarrieta, starsza, ale wciąż elegancka i zadbana dama, była bliską przyjaciółką Eduarda i jego rodziny. Nazywali ją wszyscy „Luisita” (Ludwisia). Miała kudłatego białego psa o imieniu „Prince”, a ponieważ ta rasa nazywa się po hiszpańsku *perro de Pomerania* (pies pomorski), pani Ludwisia twierdziła, że jest moim rodakiem. Namiętnie oglądała (już wtedy!) brazylijskie seriale w telewizji, przeżywając niebywale perypetie ich bohaterów. Była też wielką miłośniczką *zarzuelas* (hiszpańskich operetek) i wciąż zapraszano ją na śluby i wesela. Pewnej soboty zdarzyło jej się być na trzech kolejnych ślubach!

Od początku mego pobytu jeździłem autobusem do położonej w starym centrum Biblioteki Narodowej. Mieściła się w dawnym klasztorze św. Franciszka, zwanym obecnie Pałacem Akademii (mieszczą się w nim również trzy czy cztery sekcje Akademii Nauk). Muszę przyznać, że niełatwo było mi się skupić na lekturze traktatów lingwistyczno-etnologicznych w wilgotnym, dusznym upale dochodzącym czasem do 30 stopni (wewnątrz nie było klimatyzacji). Mimo wszystko, z uwagi na wysokie położenie Caracas, upał był o wiele znośniejszy, niż w Hawanie. Zwłaszcza noce były przyjemnie ciepłe, z lekką bryzą, nigdy upalne. Pod wieczór chodziłem do pięknego ogrodu naprzeciwko domu Doñii Luisy. Siadałem na ławce w cieniu i czytałem. Niestety, podczas

jednej z takich wizyt podszedł do mnie jakiś malec i rzekł: „Mój dziadek nie lubi, kiedy pan tu przychodzi”. Przeprosiłem i na tym skończyło się odwiedzanie tego miejsca, którego właścicielom przeszkadzała moja dyskretna obecność. Pozostawała mi ruchliwa arteria do spacerów jej niebezpiecznym skrajem. Kiedyś późnym wieczorem nagle tuż przy mnie zatrzymało się jakieś auto, z którego „wysypała się” – niby to przypadkiem wprost na mnie – całkiem młoda „wesoła” Mulatka. Auto odjechało i wywiązał się między nami taki oto dialog:

Ona: Idziemy?

Ja: Idziemy!

Ona: A dokąd?

Ja: No, na przykład, na Plac Wenezuelski (było to dobre 3 km stamtąd).

Ona (kładąc mi rękę na ramieniu i z żalem w głosie): Ależ kochanie, ja pracuję!

Przez pierwsze cztery miesiące byłem stypendystą rządu wenezuelskiego i poza pracą w Bibliotece Narodowej odbywałem rozmowy i wywiady z etnologami, etnografami i dziennikarzami w różnych instytucjach naukowych i redakcjach czasopism (*El*

Nacional, Imagen). Odwiedziłem między innymi siedzibę Towarzystwa im. Bolívara (*Sociedad Bolivariana*) i odbyłem rozmowę z jego ówczesnym prezesem Pedro Grasesem. W Instytucie Folkloru rozmawiałem z wybitnym etnologiem Luisem Felipe Ramónem y Riverą, a w Narodowym Instytucie Kultury i Sztuk Pięknych (INCIBA) moim rozmówcą był Luis Arturo Domínguez, autor interesujących prac na temat literackiego i muzycznego folkloru Wenezueli. W siedzibie Wenezuelskiej Akademii Języka Hiszpańskiego przyjął mnie jej dyrektor, wybitny krytyk literacki Ojciec Pedro Pablo Barnola. Wszystkie te interesujące rozmowy i spotkania aranżował Eduardo, któremu zawdzięczam właściwie wszystko, gdy chodzi o mój pobyt w Wenezueli. Przed wyjazdem do Watykanu, gdzie objął stanowisko ambasadora Wenezueli przy Stolicy Apostolskiej, towarzyszył mi także w czterech wyprawach: 1. na Wyspę Margarita przy wschodnim wybrzeżu Morza Karaibskiego, 2. do wioski Colonia Tovar, w górach, 60 km na zachód od Caracas, 3. na miejsce bitwy pod Carabobo, która w 1821 roku zadecydowała o niepodległości Wenezueli, 4. na plażę Chichiriviche, około 50 km na zachód od Caracas.



Pierwsza wyprawa była najdalsza i chyba najciekawsza. Jechaliśmy nocą do Puerto La Cruz na wschodnim wybrzeżu, przecinając wspaniałe lasy tropikalne i plantacje kakao. Wychylałem się przez okno samochodu i chłonałem to wszystko

całym sobą, nie mogąc nasycić się cudowną wonią kipiącej po obu stronach drogi roślinności. Śmignął nam w pewnym miejscu *rabipelado* (*Didelphis marsupialis*), czyli torbacz zwany dydelfem. Pisząc te słowa sam zastanawiam się, dlaczego tak bardzo kocham najgłębszą z możliwych miłości ten tropikalny, kolorowy świat, pełen cudownych zapachów i barw, niesamowicie pięknych form, fantastycznie wkomponowanych w krajobraz. Odpowiedź tkwi w samym pytaniu i już właściwie nic nie muszę dodawać. Od maja do października trwa w Wenezueli pora deszczowa, czyli „zima” (co nie odnosi się w najmniejszym stopniu do niższych temperatur, a do faktu, że bardzo często padają ulewne deszcze). Przeżyliśmy taką tropikalną, może godzinną ulewę, po której zaraz wypogodziło się, a za jakiś czas wstało prażące słońce.

Z Puerto La Cruz po 4 – 5 godzinach podróży promem dotarliśmy na oddaloną o jakieś 120 km Wyspę Margarita, której rozmiary 84 x 42 km pozwalają w krótkim czasie dość dokładnie ją poznać. Wyspa słynie z pięknych plaż (dopiero pół roku później mogłem to w pełni docenić), hodowli ostryg i połowu pereł, stąd jej nazwa Margarita, co po grecku znaczy „perła”. W drodze powrotnej, tuż za Puerto La Cruz, zwróciłem uwagę na obsypane pięknymi złotymi kwiatami drzewa zwane *araguaney* (*Tabebuia spectabilis*). Rosły na wzgórzach pokrytych suchymi, kolczastymi krzewami i niskimi drzewami. *Araguaney* to narodowe drzewo Wenezueli. To piękna tradycja w Ameryce Łacińskiej: każdy kraj

ma swoje narodowe drzewo, kwiat i ptaka. Takim narodowym kwiatem jest orchidea (także na Kubie), a ptakiem – wspaniały śpiewak, czarno-żółto-biały *turupial* lub *turpial* (*Icterus icterus*), bardzo często hodowany w klatkach. Nie ukrywam, że mieliśmy zamiar, żona i ja, przywieźć takiego *turpiala* do Europy, ale chyba dobrze się stało, że tego w końcu nie zrobiliśmy. Pewno wkrótce dokonałby żywota w tej naszej zimnej, mglistej i smutnej części świata, głównie z tęsknoty za słońcem i rajskim otoczeniem.

Colonia Tovar to niemiecka wioska położona na wysokości 1700 m, założona przez osadników ze Schwarzwaldy w roku 1851. Klimat idealny ze względu na wysokość. Szachulcowe konstrukcje domów i kuchnia typowo niemieckie (znakomite strudle). Pole bitwy pod Carabobo znajduje się 220 km na zachód od Caracas, 38 km za miastem Valencia. Góruje nad nim monumentalny pomnik Bolívara. Jest plan sytuacyjny bitwy, płaskorzeźby przedstawiające poszczególne jej fazy.

Wspaniałym przeżyciem był wypad na plażę Chichiriviche de la Costa w obecnym stanie Vargas, około 30 km na zachód od lotniska w Maiquetía. Plaża znajduje się nad zatoczką w kształcie muszli. Wpada do niej mała rzeczka. Od strony lądu palmy kokosowe, piękna roślinność. Miejsce trudno dostępne z uwagi na karkołomną górską drogę dojazdową. Wysoko na wzgórzach ogromne drzewiaste kaktusy *cardones*. Za lasem, jeden kilometr

w głębi lądu, murzyńska wioska o tej samej nazwie Chichiriviche. Po raz pierwszy w życiu spędziłem dwie noce w hamaku. Spało się znakomicie.

Dzięki Eduardowi pokochałem kuchnię wenezuelską. Już pierwszego dnia zaprosił mnie na kolację do specjalizującej się w daniach narodowych restauracji „El Portón” (Wrota). Od razu podano *arepas* – okrągłe bułeczki z mąki kukurydzianej, ze śmietaną. Zastępują one w Wenezueli chleb i nawet portugalscy imigranci, których w Caracas bardzo dużo (są głównie właścicielami małych sklepików spożywczych), po powrocie do Portugalii zakładają restauracje, gdzie można je zamówić. Widziałem takie knajpki na Maderze. Zafascynował mnie także krem z malutkich małży morskich *chipi-chipi*. Oprócz *arepas* i zamiast kartofli czy o wiele powszechniejszego tu ryżu, jako składnik drugiego dania podaje się *cachapas*, grube, intensywnie żółte naleśniki z kukurydzy. Są przepyszne! Liczne potrawy z kukurydzy, na których opiera się kuchnia wenezuelska, to przysmaki indiańskie ochoczo zaakceptowane przez wszystkich Wenezuelczyków, także białych przybyszów z Europy, wśród których najwięcej jest Włochów, Hiszpanów i Portugalczyków.

Kilka zdań należy poświęcić owocom tropikalnym. Takiego bogactwa i różnorodności gatunków nie widziałem w żadnym innym kraju. Mówiono mi, że w Wenezueli istnieje ponad sto odmian samych bananów. Najcudowniejszym, prawdziwie

rajskim owocem jest Mango (tak, świadomie piszę tę nazwę dużą literą, inaczej nie uchodzi!), którego smak, aromat, soczystość wywołują u konsumenta poczucie absolutnego spełnienia. Jedząc Mango doznaje się uczucia pełni doskonałości smakowej, jakiejś kulinarnej nirwany, całkowitego oderwania od codzienności, odfrunięcia na niebiańskie wyżyny genialnej perfekcji. Aż dziw, że dotąd nie wzniesiono pięknego pomnika Mango...



Llanos, Wenezuela

Na słynne równiny Llanos de Apure, tak sugestywnie opisane w powieściach Gallegosa, poleciałem sam. Nie sposób w paru zdaniach oddać różnicy między wrzaskliwym, szalonym, pulsującym niesamowitym rytmem Caracas, a tą głuszą, w której

czas całkiem się zatrzymał od przybycia Kolumba, a może i od wcześniejszych epok. Po spędzeniu dwóch dni w zapadłej stolicy stanu Apure, sennym mieście San Fernando, położonym nad drugą co do wielkości (po Orinoko) rzeką Apure, poleciałem malutką wojskową awionetką do hacjendy hodowlanej Trinidad de Arauca, co znaczy Święta Trójca nad Arauką, kolejnym wielkim dopływem Orinoko. Lepiej nie mogłem trafić: rzeka Arauca jest rozślawiona na całą Amerykę Łacińską dzięki piosence będącej nieformalnym, drugim hymnem narodowym Wenezueli. Zaczyna się od słów: „Urodziłem się nad bystrym nurtem Arauki. Jestem bratem rzecznej piany, czapli, róż i słońca!” Jeszcze i ten obraz wzbogacał moją osobistą mitologię Równin. Szukałem jej potwierdzenia w rzeczywistości i o dziwo, wiele z jej wątków odnalazłem.

Już widok jeźdźców na koniach pędzących po bezkresie rozlewisk i rozpryskujących ogromne strugi wody, jakby znieruchomiałe w mojej optyce obserwatora z awionetki lecącej 300 metrów nad ziemią, idealnie pokrywał się z wizją Gallegosa. Nad sawanną przelatywały stada śnieżnobiałych czapli i szkarłatnych ibisów. Nie, stanowczo nie potrafię wyrazić tej bolesnej niemal radości, jaką odczuwałem patrząc na ten pejzaż tuż pode mną. Czułem się wyróżniony, ogromnie wyróżniony przez Boga i tylko myślałem, że choćby dla takich chwil warto, warto żyć! A swoją drogą dlaczego nikt nie kręci filmów ukazujących to nieprawdopodobne piękno wenezuelskich Równin podczas ciężkiej pracy

tamtejszych kowbojów, zamiast tych kretyńskich amerykańskich filmideł, gdzie wciąż leje się krew i dominuje przemoc? Dlaczego ludzie tak kochają brzydotę i zło, wszystko, co ohydne, barbarzyńskie, odrażające? Oj, nie najlepiej to świadczy o naszych bliźnich!

Decyzją właściciela hacjendy, José Natalio Estrada, starszego pana, który popenił dość kiczowaty poemat symfoniczny pod tytułem *María del Llano* (Maria z Równin) zamieszkałem w tak zwanej „klatce” (*la jaula*), białym baraku krytym falistą blachą. Miało to dwa zasadnicze plusy: był tam działający prysznic i hamak do spania, oba niezwykle istotne wobec nieustannego, **potwornego** upału. Nie było żadnych mebli poza stołem, na którym położyłem walizkę i magnetofon do nagrań wywiadów z mieszkańcami hacjendy. Muszę przyznać, że wyglądało to dość surrealistycznie. Na drugim hamaku co jakiś czas spał pracujący w hacjendzie kowboj Pedro Emilio Sánchez. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że był także znanym śpiewakiem z Równin. Umarł przedwcześnie w 1981 roku.

Rozmawiałem głównie ze starszym panem, który nazywał się Luis Magín Aranguren. Polecił mi go właściciel hacjendy dodając: „Ten staruszek dużo wie!”. W istocie wiedział bardzo dużo. Potrafił szczegółowo opisać każdego ptaka, każdą roślinę, ponadto sypał anegdotami, recytował ludowe wierszyki, opowiadał własne przygody. Był wspaniałym rozmówcą, a

jednocześnie miał w sobie dużo naturalnej godności. Nagrania z jego udziałem były dla mnie ogromną przyjemnością, choć pod koniec pot lał się ze mnie strumieniami. Otoczenie było szczególne. Tuż obok hacjendy toczyła swe czekoladowe wody szeroka Arauca. Na jej środku wyspa Angelero, skąd dochodziło niesamowite chrapanie małp wyjców, zwłaszcza o świcie i pod wieczór. Spotykano na jej brzegach także kajmany, gdzie indziej niemal wytępione ze względu na cenną skórę. Na wielkich liściach palm i w koronie drzew na podwórku przesiadywały gromadnie *tautacos* (*Theresticus caudatus*), czyli nieco inny gatunek ibisów o szaro-białym upierzeniu. Ustawicznie słyszeć było ich monotonny, bardzo głośny, urywany krzyk. Pod wieczór milkły zupełnie. Na środku podwórka wielkie drzewo – kurnik. W Wenezueli to zjawisko powszechne: kury zwawiej fruwać niż w Europie i są zdolne pofrunąć na gałęzie drzewa, które traktują jako grzędę do spania.



Ocelot

Już pierwszej nocy zakradł się na nie *cunaguaro* (*Felis tigrina*), kot nieco mniejszy, niż ocelot, o pięknym, cętkowanym jak u jaguara futrze. Spłoszony skoczył z drzewa na dach baraku, w którym spałem. Tam zastrzelił go kierowca Gamarra. Proszę sobie wyobrazić, jak się czułem, gdy w środku nocy usłyszałem strzały i huk jakiegoś ciężaru spadającego na dach, a potem toczącego się w dół. Powtarzam: była to moja pierwsza noc w hacjendzie. Wyobrażałem sobie, że to Indianie *Yaruros* z drugiego brzegu Arauki zaatakowali hacjendę, wszak Gallegos

pisał o nich jako o dość wojowniczym plemieniu. Teraz wiem, że już w połowie XX wieku zostało ich niewiele, żyli w nędzy, pozbawieni pracy i rozproszeni. Nazajutrz pokazano mi winowajcę. Leżał rozciągnięty na drewnianym podwyższeniu, z roztrzaskanym pyskiem. Futro miał przepiękne! Bardzo mi go było żal.

Z drugiej strony remontowanej wówczas willi właściciela rosły jakieś krzewy, wśród których spacerowały wielkie tamtejsze „indyki” – *paují* (*Crax nigra*) o czarnych, lśniących piórach i kędzierzawym dużym czubie na głowie. Droga prowadziła w głąb sawanny. Bliżej rzeki z gałęzi wielkich drzew zwisały długie gniazda *arrendajos* (*Cacicus cela*), pięknych czarno-żółtych ptaków. Lubiłem chodzić nad Araukę, ale nie zapuszczałem się daleko w obawie przed jadowitymi węzami. Sceneria była nieprawdopodobna. Od zapadnięcia zmroku przez całą noc rozbrzmiewał wspaniały głośny koncert niezliczonej ilości insektów. Stanowił doskonałą chóralną kołysankę. Niebo usiane było zawsze mrowiem mocno i jakoś bardzo nisko świecących gwiazd. A jeszcze opowieści Gamarry o tym, jak upolował kapibarę w starorzeczu Arauki. Jej mięso uchodzi za wielki przysmak na Równinach. Przyznam, że nie wprowadziło mnie w zachwyt.

Mijały godziny i całe dni, a obiecana podróż łodzią w górę rzeki do miasteczka Elorza nie dochodziła do skutku. Już byłem

zniecierpliwiony bezczynnością. Nikt nie wiedział, o co mi chodzi, bo miałem przecież gdzie spać i co jeść i zupełnie nie wiedzieć czemu spieszyłem się do Caracas. „Po co do Caracas? Czy tu panu źle? Tu jest prawdziwe, wspaniałe życie!” Mimo tych zapewnień, posuwając się niemal do granicy niegrzeczności wymogłem na panu José Natalio, że nazajutrz pojedę konno wraz z kowbojami aż do odległego o 15 km folwarku Agua Verde (Zielona Woda), by po drodze przyjrzeć się, jak wygląda chwytanie dzikiego bydła na lasso, pędzenie świeżo schwytanych byków i krów wewnątrz stada oswojonych i wreszcie ujarzmianie tych dzikich poprzez ujeżdżanie i powalanie przez młodziutkich chłopców odpowiednim chwytem za ogon, a potem pieczętowanie tak poskromionego bydła rozpalonym żelazem z inicjałami właściciela. Ostatnie stadium, ujeżdżanie i pieczętowanie odbywało się już w zagrodzie, w samym folwarku. Zwłaszcza ujeżdżanie było ogromnie trudne. Narowiste zwierzę zrzucało wielokrotnie jeźdźca na ziemię zanim się poddało i pozwoliło powalić. Chłopcy – jeźdźcy mieli pod koniec tej zawziętej walki ubranie całe w strzępach. Mimo pozornego poskromienia, jedna z krów tak mocno uderzała głową o drągi ogrodzenia aż popełniła samobójstwo.

Podczas całej operacji kowboje mieli na mnie baczenie, ale parę razy znalazłem się w samym środku akcji chwytania na lasso rozjuszzonego i wściekle szarpiącego się byka. Poza tym straszili, gdy przedzierałismy się przez rozlewiska: „Proszę uważać! Pod

wodą mogą być kajmany!”. Nie miałem podstaw, by im nie wierzyć, bo po drodze widzieliśmy *babos* (*Caiman sclerops*), nieco mniejszych i mniej agresywnych kuzynów kajmanów, które też mają zęby nie od parady. Podnosiłem więc wysoko stopy na wypadek, gdyby jakiś kajman chciał mi je napocząć i czułem się pewniej dopiero gdy wynurzyłem się wraz z koniem ponad powierzchnię wody. Sama jazda konna przez soczystą, intensywnie zieloną sawannę była czymś niezapomnianym. Co jakiś czas mijaliśmy siedzące na drzewach i brodzące w rozlewiskach stada białych czapli i szkarłatnych ibisów, które podrywały się do lotu. Przysięgam, że rzadko widywałem coś równie pięknego, chyba nigdy! Młode ibisy są jeszcze różowe, ale dorosłe mają pióra tak intensywnie szkarłatne, że na tle ciemnozielonego dywanu sawanny takie przelatujące stado wygląda nieziemsko pięknie. Dla Europejczyka taki obraz jest ucieleśnieniem absolutnie cudownym jakiejś baśniowej sceny, którą widział w dzieciństwie na ilustracji lub w kinie na przepięknym radzieckim filmie rysunkowym. Tak, bo te radzieckie filmy rysunkowe dla dzieci były przepiękne.

Na kolację było, oczywiście, świeżo upieczone mięso wołowe z owej krowy, która sama się zabiła. W momencie, gdy kowboje układali się w hamakach do snu, przyszło mi do głowy, by dyskretnie zapytać jednego z nich, gdzie jest toaleta. „Toaleta? – odparł lekko zdziwiony. A tu wszędzie dookoła, gdzie tylko pan sobie życzy!”, przy czym wykonał ręką odpowiedni szeroki gest.

Nagle uświadomiłem sobie, jak dalece śmieszne, by nie powiedzieć idiotyczne było moje pytanie. Na drugi dzień był już tylko powrót konno do hacjendy Trinidad de Arauca. Nabrałem takiej pewności siebie, że jechałem już całkiem szybkim truchtem. Wyprzedzał mnie Juan Ramón i śpiewał pięknie improwizując. Ten jego improwizowany śpiew przy zachodzącym słońcu, pośrodku cudownej, zielonej, bezkresnej wenezuelskiej Równiny, był godnym końcowym akcentem mego pierwszego pobytu na Wielkich Równinach.



Wielkie Równiny

Cała ta wyprawa należy do najcudowniejszych przeżyć w moim życiu. Ileż w niej magii, tajemniczości, a przy tym sam się przekonałem, że Rómulo Gallegos miał po stokroć rację: to nie fantazja, to rzeczywistość, tyle, że magiczna. Ogrom Równiny Wenezueli, tak jak argentyńska pampa, wyzwala w ich mieszkańcach skazanych na samotność konieczność rozmowy z samym sobą, gdy obok nie ma kompanów. Stąd ta wspaniała improwizacja prawie zawsze w tonie pozytywnym, wyrażająca zachwyt dla całej krainy, konia, pracy na sawannie, tęsknotę za nieobecną tu dziewczyną. Może nieco idealizuję teraz to wszystko, ale wyprawa była naprawdę fascynująca, niezapomniana. Dzięki, dzięki wielkie, panie José Natalio

Estrada, dzięki, wspaniali jeźdźcy!

Już chyba w czerwcu 1972 roku nawiązałem kontakt z Wyższym Instytutem Pedagogicznym w Caracas, gdzie od października miałem rozpocząć pracę. Spotkałem tam moje dwie znajome z kursu w Maladze w 1967 roku, Josefinę Falcón de Ovalles i Ernestinę Salcedo. Obie wykładały na tej uczelni i dzięki nim poznałem osobę, z którą do końca pobytu w Wenezueli utrzymywałem najżywsze kontakty. Była to nauczycielka języka hiszpańskiego w znanym karakaskim liceum, Olivia Carmona. Jak większość intelektualistów wenezuelskich Olivia miała poglądy mocno lewicowe, by nie powiedzieć komunizujące. Z pewnością wiedziała, w jaki sposób trafiłem do Wenezueli, a mimo to właśnie z jej strony spotkało mnie najwięcej życzliwości. Bezpośrednim powodem jej poznania był fakt, że jej ojciec pochodził właśnie z Równin, z miasteczka Elorza nad rzeką Arauką. Nagrałem z nim bardzo długą rozmowę, podczas której czytał mi wiersze ludowych twórców z Równin. Było to na krótko przed jego śmiercią i Olivia prosiła mnie potem o to nagranie, by zachować na pamiątkę jego głos. Kolejnym mężem Olivii został wówczas Artajerjes Muñoz, bardzo młodo prezentujący się u jej boku wiotki efeb. Oboje towarzyszyli mi w kilku wypadach poza Caracas.

Najciekawszym był kolejny wyjazd na Równiny w Stanie Apure. Było to chyba gdzieś w okolicy San Juan de Payara, na południe

od San Fernando. Trwała pora deszczowa i przecinaliśmy ogromne rozlewiska (*esteros*) łodzią motorową sterowaną po mistrzowsku przez niezwykle sympatycznego, cały czas promiennie uśmiechniętego tubylca o ogorzałej od słońca twarzy. Dotarliśmy do jakiejś hacjendy stanowiącej małą zadrzewioną wysepkę w bezmiarze wód. Właściciel o wyglądzie patriarchy dał się namówić na wywiad ze mną. Niestety, nie zaopatrzyłem się wówczas w magnetofon, a notatki w zeszycie to jednak zdecydowanie nie to samo. W drodze powrotnej do Caracas, po przekroczeniu mostu na Apure za San Fernando skręciliśmy w prawo w kierunku miasteczka Guayabal, by zabrać stamtąd matkę Olivii. Gdy już wyjeżdżaliśmy na główną drogę do Caracas, ujrzeliliśmy Metyskę niosącą na głowie wielki stos dużych, cienkich, okrągłych placków z maniokowej mąki, zwanych *casabe*. To indiański chleb w całym Basenie Morza Karaibskiego. Jak bardzo uwielbiają go nadal Wenezuelczycy miałem okazję się przekonać, gdy Olivia natychmiast zatrzymała samochód, kupiła kilka placków od owej kobiety i cała trójka jeła pałaszować je z wielkim apetytem. Mnie wydały się nieco suche i lekko wiórowate.



Na św. Jana pojechaliśmy razem do murzyńskiego miasteczka Curiepe, w regionie Barlovento (stan Miranda). Odbywa się tam wówczas wielki ludowy festyn i nocą mieszkańcy grają na długich drewnianych bębnach *mina* i krótszych *curbata* oraz innych instrumentach perkusyjnych, na przykład *quitiplás*, czyli bambusowych rurkach, którymi wybija się rytm uderzając o ziemię. Zabawa zakrapiana jest obficie gorzałką z trzciny cukrowej i rumem. Olivia, chcąc zachęcić pewną czarną *doñitę* (miłą panią), jak ją nazywała w rozmowie, do interesujących wynurzeń natury folklorystycznej, wręczyła jej butelkę rumu.

Aliści *doñita* okazała się na tyle niewdzięczna, że zawładnąwszy bezcennym łupem miast snuć ciekawe opowieści obdarzyła biedną Oliwię wiązką soczystych inwektyw. Jeszcze raz potwierdziło się, że odpust czy to w Łowiczu czy w Curiepe to nie najlepsza okazja do zasięgania rzeczowych informacji.

W lipcu 1972 roku odwiedziłem dwukrotnie wenezuelską Gujanę, czyli wschodnią część stanu Bolivar, gdzie rozgrywa się akcja powieści *Canaima* Gallegosa. Obszar to zupełnie inny, niż Wielkie Równiny. Północną jego granicę wytycza środkowy i dolny bieg Orinoko, „Ojca” wenezuelskich rzek. Ogromną atrakcją turystyczną jest leżący stosunkowo blisko granicy z Brazylią płaskowyż zwany *Gran Sabana* (Wielka Sawanna), z którego wyrastają gigantyczne „stoły” skalne, zwane *tepuyami*, porośnięte tropikalną dżunglą. Ze szczytu jednego z nich, *Auyantepuy*, spada najwyższy na świecie Wodospad Angela, odkryty w 1935 roku przez amerykańskiego pilota o tym nazwisku. Ma ponad tysiąc metrów wysokości. Jego indiańska nazwa brzmi: *Churún Merú*.

W biurze podróży w Caracas, gdy czekaliśmy na autokar, który miał nas zawieźć na lotnisko, pojawiła się pani o europejskim wyglądzie w towarzystwie młodej ósóbki i spytała po hiszpańsku, czy ktoś z uczestników wyprawy mówi po niemiecku. Zgłosiłem się i zostałem opiekunem Helgi Geuer z Akwizgranu, młodej nauczycielki w szkole dla dzieci upośledzonych umysłowo

(*imbizile Kindern*). Helga co roku zwiedzała atrakcyjne zakątki świata, filmując je i robiąc przeżrocza. Po powrocie do Akwizgranu prezentowała te materiały swoim uczniom. Tym razem odwiedziła zamieszkałą w Caracas ciotkę (tę właśnie panią, z którą weszła do biura) i wybierała się tak jak ja do Canaimy w sercu wenezuelskiej Gujany. Poleciliśmy najpierw do Ciudad Bolivar, stolicy stanu. Nie zapomnę widoku szerokiej wstęgi Orinoko w dole. Potem kontynuowaliśmy podróż mniejszym samolotem, który poszybował daleko na południe mijając Canaimę, specjalnie po to, by zatoczyć koło w przepastnym skalnym kanionie słynnego Wodospadu Angela. Wszyscy przykleiliśmy twarze do okienek i z emocją przyglądaliśmy się tym spadającym z ogromnej wysokości masom wody i potężnym, pionowym ścianom skalnym. Choć samolocik zatoczył aż dwa koła, trwało to zbyt krótko, by nasycić wzrok tym cudownym widokiem.

Zaraz potem zawróciliśmy na północ i za parę minut lądowaliśmy w Canaimie. I znów baśniowa sceneria: rzeka Carrao (dopływ olbrzymiej Caroní, która wpada do Orinoko) tworzy tu rząd potężnych, rozdzielonych pasmami bujnej roślinności wodospadów zwanych *Salto Hacha* (Wodospad Siekiera), a te z kolei – spore jezioro o nazwie *Laguna de Canaima*. Prąd jest tak silny, że woda w jeziorze ciągle wiruje, aż wreszcie wypływa z niego jako szeroka, rwąca rzeka, zmierzając ku pobliskiej, jeszcze większej Caroní. Woda, na skutek naturalnych

barwników mineralnych i roślinnych, ma niesamowity zupełnie kolor coca-coli lub jeśli ktoś woli, przejrzystego wiśniowego soku. W niej, dość daleko od brzegu jeziora, rosną trzy piękne palmy. W tle ogromne stoły skalne. Sawanna przeplata się z dżunglą. Na brzegu jeziora zbudowano małą, śliczną wioskę dla turystów. Domki w stylu indiańskich chat, kryte strzechą. Obok wysoko położonej restauracji, z której roztacza się wspaniały widok na jezioro i wodospady, na drzewie, wielkie kolorowe ary (*guacamayos*). Ich opiekun czule rozmawia z nimi po węgiersku.

Już na miejscu poznaliśmy sympatyczną Mulatkę z holenderskiej wyspy Curaçao. Miała na imię Margarita i zupełnie nieźle mówiła po hiszpańsku. Nie miała żadnych kłopotów z porozumiewaniem się z Helgą: holenderski jest bardzo zbliżony do niemieckiego, a poza tym, zdaje się, obie znały trochę angielski. Byliśmy najmłodszymi uczestnikami tej wycieczki i trzymaliśmy się razem. We trójkę wybraliśmy się w dół rzeki Carrao dochodząc do dużej, okrągłej opuszczonej wówczas indiańskiej chaty. Takie pojedyncze chaty zwane *churuatas* mieszczą całą wioskę i są typowe dla Indian wenezuelskich. Na obszarze Stanu Bolívar mieszkają *Maquiritare*, *Panare*, *Piaroa*, *Shiriana*, a konkretnie tu, na Wielkiej Sawannie, *Pemonowie*, zwani także *Taurepanami*. Owa *churuata* należała więc z pewnością do tych ostatnich. W pobliżu spotkaliśmy indiańską rodzinę. On tulił w ramionach niemowlę, a ona właśnie piekła *casabe*, opisane wcześniej maniokowe placki. Obok, na poprzecznym drągu, wisiał *sebucán*,

długa rura pleciona z liści palmowych, do której przez jej górny otwór wsypuje się i ubija utarty gorzki maniok. Elastyczna konsystencja tego urządzenia powoduje, że pod wpływem ciężaru jego ścianki wyciskają z manioku trujący płyn, który zbiera się do stojącego pod *sebukanem* naczynia. Po zagotowaniu służy jako zupa oraz do przygotowania octu i miodu. Substancje trujące ulatniają się podczas gotowania.

Innym razem nasz „tercet egzotyczny” powędrował w górę Carrao, ścieżką przez dżunglę, w której, o dziwo, panowała zupełna cisza: nie słychać było śpiewu ptaków, nie płoszyliśmy żadnych zwierząt. Doszliśmy do wielkiego leśnego muzeum „Rudy Jungle” (Dżungla Rudolfa). Przyjęli nas właściciele: ów Rudy i jego żona, oboje Holendrzy. Na ścianach wisiały wspaniałe trofea myśliwskie: skóry jaguara, kajmana, wielkiego mrówkojada, boa, anakondy, rogi tutejszych jeleni, spreparowane głowy tapirów, mnóstwo żywych i wypchanych kolorowych ptaków. Wróciliśmy do naszej wioski na przełaj przez sawannę. Na poszukiwanie diamentów pojechałem bez moich przyjaciółek: Helga była tak spieczona i obolała, że Margarita postanowiła zostać z nią w wiosce, by ją kurować. Najciekawsza była podróż łodzią wiosłową w tunelu utworzonym nad rzeczką przez gęste gałęzie drzew. Z ich konarów zwisały długie, brodate epifity, a wśród nich co jakiś czas wabiły wzrok prawdziwe klejnoty: piękne, liliowe orchidee. Potem było nudne grzebanie w piasku na dnie małego strumyka, przesiewanie tego piasku przez

duże, płaskie sita. W efekcie ktoś znalazł dwa malutkie diamenty, a reszta śmiertelnie się wynudziła...

Przez jakiś czas trwała korespondencja między Helgą a mną. Przysłała ładne zdjęcie, które zrobiła mi na częściowo zatopionej indiańskiej łodzi nad rzeką Carrao. Napisała też Margarita. Okazało się, że odwiedziła Helgę w Akwizgranie...

ciąg dalszy nastąpi



Quinta Anauco, Caracas

Zygmunt Wojski, ur. w 1941 r., absolwent filologii romańskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Studiował filologię hiszpańską i hispanoamerykańską na Uniwersytecie Hawańskim (Kuba), ukończył wyższy kurs filologii hiszpańskiej w Maladze i kurs szkoły badań lingwistycznych w Madrycie. Odbił studia doktoranckie na Uniwersytecie Warszawskim, a w 1984 r.

obronił pracę doktorską "Particularidades léxicas del español hablado en los Llanos de Venezuela" i uzyskał tytułu doktora nauk humanistycznych. Studia podyplomowe odbył w Institut d'Etudes Hispaniques na Sorbonie, pod kierunkiem prof. Bernarda Pottiera.

W latach 1972-1973 przeprowadzał badania nad hiszpańszczyzną mówioną w Wenezueli i prowadził seminarium z leksykografii hispanoamerykańskiej w Instituto Pedagógico Nacional w Caracas. Był też wykładowcą metodyki nauczania języka hiszpańskiego dla cudzoziemców w Instituto de Cultura Hispánica w Madrycie (1973-76). W latach 1976-2007 wykładał język i kulturę portugalską, gramatykę francuską i hiszpańską, historię i kulturę Ameryki Łacińskiej oraz historię języka hiszpańskiego w Instytucie Filologii Romańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, gdzie także prowadził proseminaria poświęcone hiszpańszczyźnie amerykańskiej.

W latach 1976-2006 prowadził badania lingwistyczne i wykłady na Kubie, w Meksyku, w Niemczech, we Francji, w Danii, w Hiszpanii, w Portugalii, w Brazylii, w Argentynie, w Gwatemali, w Urugwaju, w Panamie. W tym samym okresie przygotował serię sesji naukowych poświęconych kulturze i cywilizacji portugalskiej (poezja Camõesa i Pessoa, Lizbona, Madera, Azory, twórczość José Saramago, Amália Rodrigues).

W 1985 r. po raz pierwszy w historii Uniwersytetu Wrocławskiego wprowadził lektorat języka portugalskiego. W latach 1998-1999 był kierownikiem Zakładu Iberystyki Uniwersytetu Wrocławskiego. Mimo, że w 2006 roku przeszedł na emeryturę, w latach 2007-2010 był starszym wykładowcą w Wyższej Szkole Zarządzania Marketingowego i Języków Obcych w Katowicach, a w latach 2011-2012 – starszym wykładowcą w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej im. Angelusa Silesiusa w Wałbrzychu.